ŚWIATOWID

Nr. 8 497 ROK
17 LUTEGO 1934
NUMER ZAWIE
24 STRON DRU
W CZECHOSŁ
WACJI Kc. 2·20.

GROSZY
60



PARYŻ W OGNIU...

(Bliższe szczegóły na stronie 3—6-ej).

NA ŚLUBNYM KOBIERCU.

W ubiegły czwartek odbył się w Kościeliskach ślub p. wiceministra Aleksandra Bobkowskiego z p. Heleną primo voto Zwisłocką, córką p. Prezydenta Rzplitej. Błogosławieństwa udzielił parze nowożeńców miejscowy proboszcz ks. kanonik Humpola. Po ślubie młoda para podejmowana była serdecznie przez p. Prezydenta i Jego małżonkę, którzy obecnie zamieszkują willę „Dworek" w Zakopanem. Na zdjęciu p. Prezydent z małżonką, parą nowożeńców i gośćmi weselnymi.

BAL „LATARNI" W WARSZAWIE.



Na zdjęciu zdobywcy nagród konkursu walca. W pierwszym rzędzie od prawej pp. hr. Róża Raczyńska (I. nagroda), ks. Eleonora Sapieżanka (II. nagroda), ks. Jan Sapieha. W drugim rzędzie od prawej pp. ks. Jan Czetwertyński, Czarkowski-Golejewski i hr. Zofja Zamoyska (III. nagroda).

Bal Tow. „Latarnia", opiekującego się ociemniałemi ofiarami wojny, zalicza się do najwytworniejszych balów stolicy — i w roku bieżącym nie zawiódł swej renomy i okazał się rzeczywiście „gwoździem" karnawału. Zgromadził liczne towarzystwo ze sfer arystokratycznych, dyplomatycznych, przemysłowych itd. Wśród obecnych zauważyliśmy ambasadę francuską in corpore z pp. ambasadorem Laroche z małżonką na czele, ambasadora amerykańskiego, ambasadora włoskiego z małżonką, posłów rumuńskiego, jugosłowiańskiego, portugalskiego z dwoma córkami, greckiego z małżonką, niemieckiego z małżonką, austrjackiego z małżonką, wiceministra Szembeka z małżonką, b. min. Zaleskiego z małżonką, min. Filipowicza i w. in. Bal ten był co do tualet drugim balem mody. Panie wystąpiły w pięknych kreacjach najwybitniejszych firm warszawskich. Urozmaiceniem balu były konkursy walca i tanga. W konkursie walca pierwszą nagrodę otrzymali (na zdjęciu) pp. hr. Róża Raczyńska i ks. Stefan Czetwertyński, drugą nagrodę ks. Eleonora Sapieżanka i ks. Jan Sapieha, trzecią nagrodę pp. hr. Zofja Zamoyska i Czarkowski-Golejewski. W konkursie tanga pierwszą nagrodę otrzymali pp. Tilly Ciechanowiecka i hr. Władysław Potocki, drugą nagrodę pp. Zuzanna Kossakowska i hr. Jan Dembiński, trzecią nagrodę p. br. Danglówna i p. Olgierd Missuna. Bal cały upłynął w niezwykle miłym nastroju i dał pozatem poważny zasiłek dla ociemniałych ofiar wojny.

BARYKADY W PARYŻU.



W całym Paryżu nie można się dziś doprawdy napić spokojnie porządnej, gorącej kawy. Nawet w tej małej kawiarence z kilkoma małymi stolikami, wystawionemi nad brzegiem Sekwany na Quai d'Orsay rozprawiają ciągle o aferach i skandalach. Łaziłem przez kilka godzin po wielkich bulwarach, ale kawiarnie, w których próbowałem usiąść, zamykają co pięć minut kelnerzy, wystraszeni napływającym tłumem, lub też patrolem uzbrojonej policji. Zdawało mi się, że tu wreszcie znalazłem nad Sekwaną zaciszne schronienie. Przy sąsiednim stoliku siedzi jakiś grubszy, zażywny Francuz. Ten na codzień jowialnie i przyjacielsko usposobiony obywatel, poklepujący swoich znajomych po ramieniu, jest dziś w niezwykle wojowniczem usposobieniu.

Musimy raz z tem skończyć, wykrzykuje. Kulę w łeb złodziejom... żebym ja ich dostał w ręce...

Patrzę na małe, pulchne rączki Francuza, o krótkich palcach i myślę, że są one zupełnie nieszkodliwe. Przynajmniej w stosunku do żelaznych hełmów i karabinów maszynowych, które strzegą wysoko postawionych malwersantów. Mały, gruby Francuz monologuje dalej: Tak, Daladier. Jemu się zdawało, że może potrafi... ale to nie z nami. Paryżanie już nieraz pokazali, że nie pozwolą się okradać.

Przed kawiarenką gromadzi się grupka jakichś obdartusów, nadsłuchując. Wkońcu jeden podchodzi do stolika i kładąc rękę na ramieniu obywatela francuskiego, oświadcza:

— Macie rację towarzyszu, trzeba z tem raz skończyć.

— Z czem skończyć? — zaperzył się Francuz. — Czy pana też okradli? zupełnie pan nie wygląda na to, aby panu zabrano oszczędności pochowane w bankach. Odczep się pan...

Rozmowę przerywa jowialnie uśmiechnięty właściciel lokalu.

— Moi kochani — mówi wesołym głosem... — Tak, moi kochani, pogawędzicie sobie na ulicy, bo ja zamykam lokal... Czekają na mnie.

(Ciąg dalszy na str. 4-ej).

Barykada na placu Zgody w Paryżu.



B. prezydent Francji Gaston Doumergue stanął na czele nowego rządu.



Pobity przez policję b. żołnierz z czasów wielkiej wojny woła salutując: Niech żyje Francja!



Wymarsz wojska z koszar Fontency, powołanego do stłumienia rozruchów.



Przenoszenie ciężko rannego na bulwarze Sebastopol.



Publiczność, czytająca propagandowe afisze partyj politycznych.



Premjer Daladier ustąpił po kilku dniach pod naciskiem ulicy.



Prefekt policji paryskiej Chiappe, którego dymisja spowodowała oburzenie opinji publicznej.



Policja odpierająca atak tłumów na parlament.



BARYKADY W PARYŻU.



Ranny, powalony na ziemię przez policjanta uderzeniem pałki gumowej.

(Ciąg dalszy ze strony 3-ciej).

Przyglądam się wąsatemu właścicielowi lokalu. Na jego piersi błyszczą ordery, zdobyte w wojnie...

— Wy wszyscy nie macie tu nic do gadania — powtarza surowo bohater wielkiej wojny, składając stoliki i zbierając skrzętnie do kieszeni pourbouire. O zwycięstwie sprawiedliwości zadecydujemy my, żołnierze. Wyprężył się jak na paradzie, zasalutował i odszedł szybkim krokiem wzdłuż Sekwany. Reszta gości opuściła już także lokal... Zostałem sam na ulicy. Dokąd tu pójść? Machinalnie przechodzę przez most na Sekwanie i wzdłuż ogrodów tuillerskich zbliżam się do Pl. Zgody.

Na Placu Zgody tłum, tłum milczący, zamarły, jakby czekający sygnału. Naprzeciw niego na moście przez Izbą Deputowanych karabiny maszynowe. Za nimi policja w stalowych hełmach. Jest cisza przed burzą. Nagle od Placu Madeleine nadjeżdża, rycząc przeraźliwie olbrzymi paryski autobus. Rozstąpić się!... Na bok! Pierwsze okrzyki podjął tłum i teraz jak grzmot przeciągły, rozległ się przerażający, mrożący krew w żyłach ryk. Tłum runął na autobus i w mgnieniu oka przewrócił go na bruk. Zabłąkany w płynącej fali ludzkiej, podążam coraz bliżej do miejsca katastrofy. Widzę, jak jacyś ludzie rzucają stare gazety i papiery do wnętrza autobusu, jak w chwilę potem jasny płomień zaczyna obejmować zdruzgotaną maszynę. Ludzie chwytają rozpryśnięte kawałki szkła w ręce i uzbrojeni tą straszliwą bronią, ruszają naprzód do ataku na karabiny maszynowe.

Mały, chudziutki profesor w słomkowym kapeluszu, który niewiadomo jakim cudem zaplątał się w tych rozruchach, usiłuje zatrzymać potężny atak, wykrzykując piskliwym głosem: Panowie, gdzież wolność i równość i braterstwo? Parlamentaryzm zwycięża, wszyscy otrzymacie z powrotem...

Reszta słów zginęła jakby zduszona w odgłosie walki. Grupa młodych studentów przewraca olbrzymią latarnię, powaloną chwyta w ręce jak olbrzymi taran.

W tej właśnie chwili pada pierwszy strzał... Za nim już cała serja równych rytmicznych trzasków: to strzela karabin maszynowy. Tłum zakołysał się. W środku naprzeciw mostu utworzył się cały kłąb ciał. Ale Francuzi nie ustępują tak prędko, tembardziej, że od strony Pól Elizejskich przybywa im w odsiecz armja kombatantów z wojny światowej. To już nie niezorganizowana masa, ale żołnierz ćwiczony w bojach, nielękający się niczego, który z pieśnią na ustach idzie, nastawiając swą pierś, zdobną orderami, na kule policji paryskiej.

— Patrzcie, jak idą bohaterzy — mówi do mnie przgodny towarzysz.

Na tym placu, na którym polała się bratobójczo krew francuska, stanie kiedyś pomnik z napisem: „Tu poraz pierwszy rząd odważył się strzelać do Paryżan“. Na tym najpiękniejszym placu świata, przez który maszerowały zwycięskie oddziały wojsk francuskich w dniu triumfu po zakończeniu wielkiej wojny, padają dzisiaj ci sami ludzie z piersiami przeszytemi kulami policjantów.

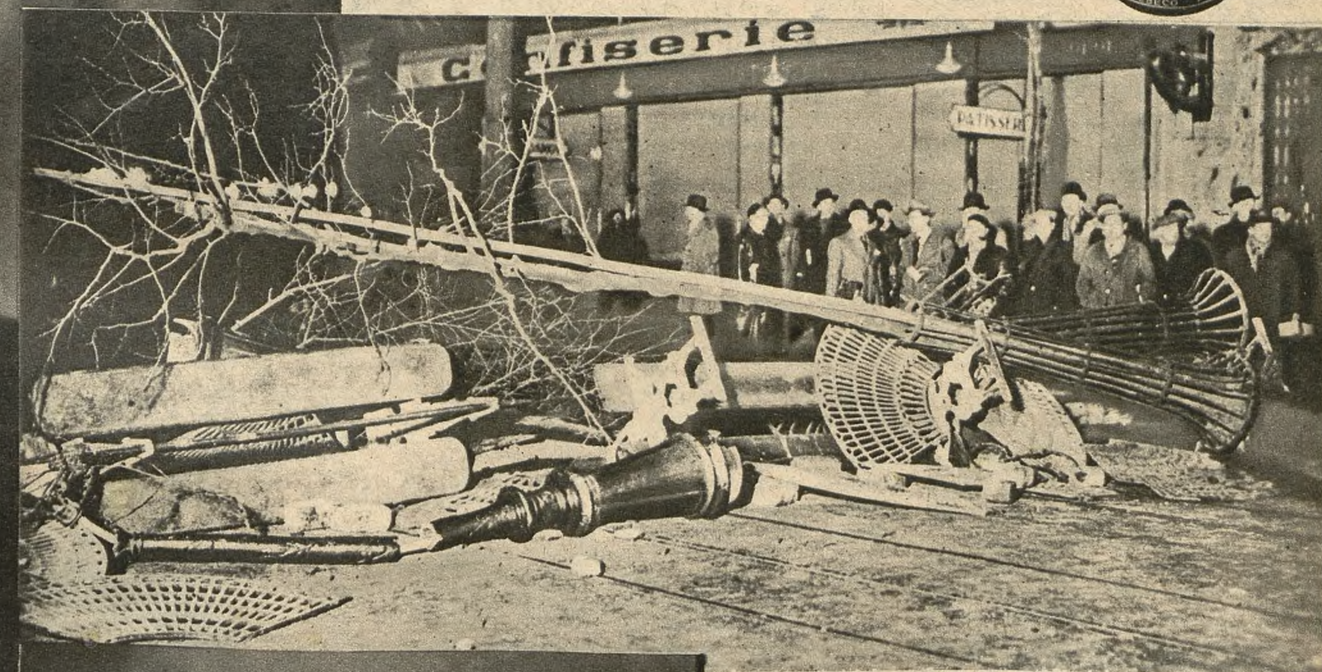
Potężna „Marsyljanka“ rozbrzmiewa nad placem, wróżąc zwycięstwo. Policja zaczyna się cofać.

Od strony ogrodów tuillerskich zdąża nowy pochód. To komuniści. Idą, śpiewając międzynarodówkę i, łącząc się zgodnie z tłumem i kombatantami, rzucają się do ataku. Trzask karabinów maszynowych nie ustaje.

Z tłumu wynoszą rannego. Z otwartych ust sączy się krew... ranny rzęzi. Stara kobieta w chustce na głowie rzuca się ku niemu, krzycząc przeraźliwie: Co oni zrobili z mojem dzieckiem... Złodzieje! Mordercy!

Tłum podejmuje te okrzyki, a potem zgodnym chórem rzuca potężne wyzwanie.

(Ciąg dalszy na str. 6-ej).



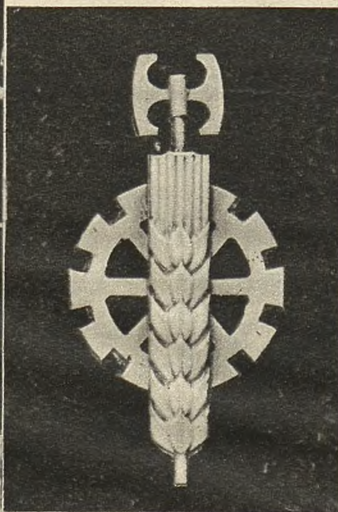
Jak w 1871 r. ...barykady na ulicach.



Płonący autobus na placu Zgody.

BARYKADY W PARYŻU.


Burzliwe posiedzenie parlamentu francuskiego, na którem premjer Daladier otrzymał votum zaufania.



Dobroduszny, wąsaty właściciel rozstawia na bruku stoliki i poprawia ogień w żelaznym piecyku. Uśmiecha się do nas uprzejmie i zaprasza. — Przy ladzie stoi młoda, piękna Paryżanka i pije wermouth. Uśmiecha się figlarnie, jakby nie wiedziała, że przed chwilą jeszcze barykady Paryża spłynęły krwią. Uśmiecha się wiecznie wdzięczna i młoda, szykowna paryska kobietka, symbol frywolnego Paryża, miasta radości i zabaw.


I we Francji pojawili się już faszyści. Przywódcą ich jest Marcel Bucard (w pośrodku) Wyżej: Godło faszystów francuskich.

(Ciąg dalszy ze str. 5-ej).

— Precz z Daladierem, precz z kompanami Stawiskiego! Oddajcie nam Chiappego!

Siwy staruszek z trzęsącą głową opowiada wzburzony: „Słyszeliście, policja pobiła ślepego posła Scapiniego — ślepca nie uszanują..."

Walka na chwilę przycichła. Ale już w chwilę potem rozległ się tentent koni i krzyk od strony Madeleine. To konna policja szarżuje.

— Budować barykady! — zagrzmiał nagle rozkaz. Jakiś niewidzialny przywódca zaczyna kierować akcją bojową. Tłum, wzięty teraz we dwa ognie, kryje się za drzewami Pól Elizejskich. Obdarci i czarni ludzie, których zwykle nie widuje się w Paryżu, chyba nad ranem koło wielkich hal, rzucają się, by rozbijać i rabować sklepy. Wywlekają lady i stołki i układają na wielki stos na środku ulicy, tworząc barykady. W kilku domach i hotelach otwierają się okna, przez które wylatują poduszki, koce, sprzęty, wkońcu całe szafy i padają zdruzgotane na bruk. Pod ministerstwem marynarki ułożono z potłuczonych gratów olbrzymi stos, oblano benzyną z rozbitego auta i podpalono. Słup ognia bucha pod pierwsze piętro. Teraz niewiadomo już, kto z kim walczy. Od wielkich bulwarów dochodzą coraz to wyraźniej odgłosy wzmożonej strzelaniny.

Człowiek w podartej koszuli, z obłąkanemi oczyma krzyczy w niebogłosy: Na pomoc, na bulwarze Hausmana giną!!! Tłum, jakby kierowany niewidzialną komendą, zaprzestaje ataku, cofa się, rozbija w grupy, które podążają ulicami, by zgromadzić się znowu na bulwarze Hausmana, by znowu budować barykady i ginąć z pieśnią na ustach. Plac pustoszeje zwolna. Na bruku leżą szczątki kilku strzaskanych aut. Straż pożarna gasi podpalony gmach ministerstwa marynarki.

Zostałem sam... Nie, ciągle ten nieodłączny towarzysz, który przez cały czas towarzyszy mi, jakby jakiś przewodnik po osobliwościach Paryża. Nie przestaje perorować ani na chwilę.

— Widzi pan, być może, że Francuzi poniosą klęskę, ale klęska ta będzie tylko klęską fizyczną, duchowo pokazali oni, że nie można rządzić ponad głowami ludu, że nie wolno oszukiwać Francuzów. Podobno Doumergue tworzy gabinet. Nie wiem, czy pójdzie mu to tak łatwo, jak za czasów prosperity, kiedy miał u swego boku Poincarego... W każdym razie Chiappe powrócić musi, tak chce lud.

Wracamy wolnym krokiem wzdłuż Sekwany i znowu przechodzę most i przystaję przed małą kawiarenką.

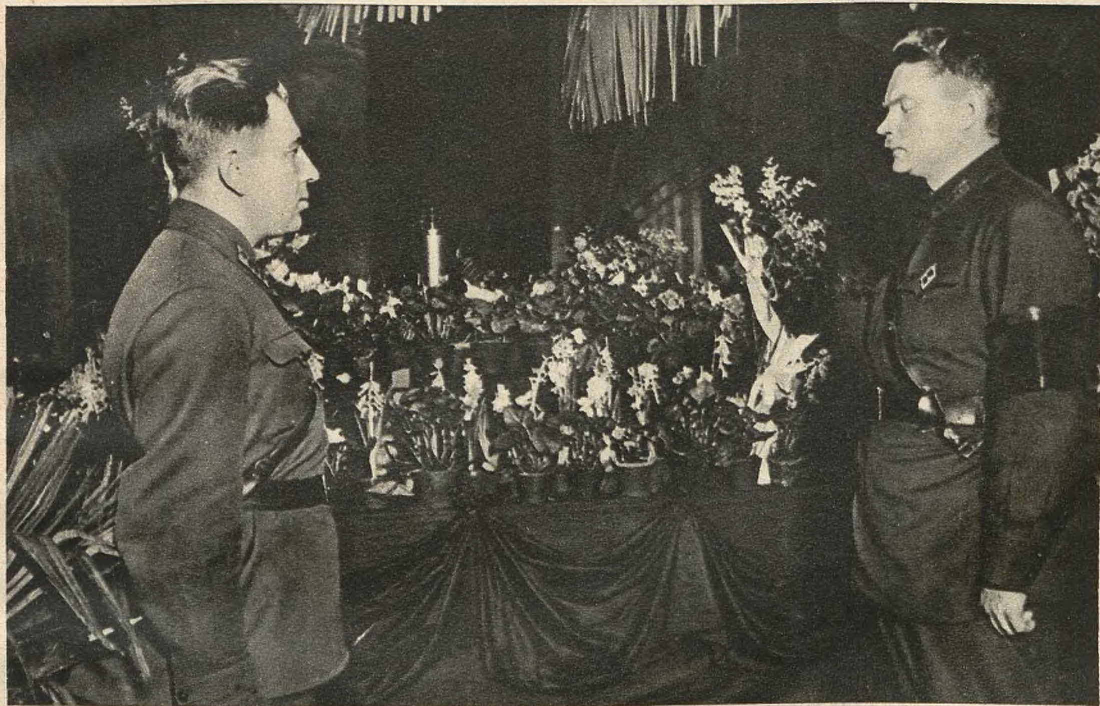

Po salwie...

TRAGICZNY LOT DO STRATOSFERY.

Dnia 30 stycznia b. r. wzniósł się w Moskwie w powietrze stratostat sowiecki, skonstruowany w Leningradzie. Załogę jego stanowili Fedoszczenko, inżynier pilot Wasenko, oraz obserwator Usiskin. O godzinie 12.33 balon osiągnął wysokość 20600 m., utrzymując łączność radjową ze swoją bazą w Moskwie. Wkrótce jednak potem na powłoce balonu zaczęła tworzyć się powłoka lodowa, wskutek czego stratostat zaczął opadać z zawrotną szybkością i roztrzaskał się, grzebiąc pod swoimi gruzami całą załogę. Jak skonstatowano — w ostatniej chwili gondola urwała się od balonu.

Katastrofa stratostatu pogrążyła w żałobie Sowiety. Ciała bohaterów zostały spalone, a urny z ich prochami wmurowane w mury Kremla.

ZDJĘCIA „UNION-BILD".



Straż honorowa przy trumnie lotników stratosferycznych.



Fragment uroczystości pogrzebowych w Moskwie.

ZBRODNIARZ, CZY OBŁĄKANY?

Lwów został wstrząśnięty potwornem morderstwem, dokonanem na osobie niejakiej Szewówney, dziewczynie lekkich obyczajów, której zwłoki znaleziono poćwiartowane w parku Kilińskiego.

Jak się okazało, mordercą jest inwalida Hieronim Cybulski, właściciel kiosku tytoniowego, do którego zwabił on ofiarę, otruł ją przy pomocy cjankali, a następnie z pomocą wspólnika zwłoki poćwiartował i wyniósł. Ponieważ zachodzi podejrzenie, że Cybulski jest chory umysłowo, gdyż od lat choruje na kilę, lekarze zajęli się zbadaniem jego poczytalności.

Energicznie prowadzone śledztwo ustali, czy Cybulski niema na sumieniu także i innych zbrodni, a przedewszystkiem, czy ma on coś wspólnego z zamordowaniem śp. Lusi Zarembianki.



Kiosk tytoniowy, w którym została zamordowana ś. p. Szewówna.



S. p. Emilja Szewówna.



Komisja sądowa, badająca wzgórza przy ul. Zielonej.



Morderca Hieronim Cybulski.

WIELKIE DNI ZAKOPANEGO



Hołd złożony przez narciarzy p. Prezydentowi Rzpltej w dniu 10 b. m. w Kościeliskach.



Fragment pochodu maszkar.

Rozbawiona publiczność, przypatrująca się pochodowi karnawałowemu.



Czech Bronisław w skoku, mistrz Polski na rok 1934.



Stanisław Marusarz w swoim rekodowym skoku na 74 m.



Wiig Ole, Norweg w skoku.



Stanisław Marusarz na starcie biegu na 18 km.



Pochód maszkar przez ulice Zakopanego.

ZDJĘCIA FOT. SCHABENBECK ZAKOPANE.



Fragment biegu zjazdowego kobiet na Goryczkowej. Widoczna mistrzyni Polski na rok 1934, Bronisława Staszel-Polankówna.

Jadę do Zakopanego. Trzeba zobaczyć zawody narciarskie i nacieszyć się Świętem Zimy.

W popularnym pociągu, ścisk jak w lombardzie. Wśród granatowych mundurów zwolenników nart obojga płci, moje cywilne szatki wyglądają dziwnie posępnie, niby sztandar niedołęstwa.

Po obu stronach toru kolejowego ścielą się białe zagony śniegu, którego warstwa w miarę zbliżania się do Chabówki coraz bardziej rośnie. Od Nowego Targu jest już naokół biało. Słońce dogrzewa, znać, że to już luty.

W Zakopanem tłumy. Przez Krupówki poprostu przecisnąć się nie można. Wszyscy rozprawiają o zawodach i o tem, jak to będzie z biegami, skokami i pierwszem miejscem. Kto zdobędzie tytuł mistrza Polski, Polacy, czy Czesi? Początkowo triumfują nasi pobratymcy. W biegu na 18 km. biją bezapelacyjnie Czecha i Marusarzy.

Jedyna nadzieja w skokach...

Sam p. Prezydent Rzplitej przybył na Krokwię ze swoją świtą, aby zobaczyć, jak skaczą nasze asy. No i rzeczywiście wykazali oni świetny styl, a Marusarz zdobył rekord, osiągając 74 m.

Już to bowiem, gdzie chodzi o brawurę, o odwagę, Polak jest zawsze pierwszy. Potrafimy zdobywać Samosierry, ale nie lubimy nudnego i jednostajnego treningu. I dlatego długie biegi nie będą nigdy specjalnością Sarmatów.

Aż się wszystkim oczy roześmiały, gdy wszem wobec i każdemu zosobno obwieszczono, że mistrzem Polski został Bronisław Czech.

Brawo Bronku!

Kulminacyjnym punktem wielkich dni Zakopanego był pochód karnawałowy. Zakopane upodobniło się na kilka chwil do Nicei. Ulicami przeciągał pochód maszkar i ucieszych masek. Kwiaty zastąpił śnieg. Ogólnie podobał się olbrzym 7-miogłowy, symbolizujący koncern „I. K. C.". Nie obeszło się także bez tańców na śniegu przy góralskiej muzyce.

A potem przyszedł Popielec. Pochyliły się głowy i posypał się na nie szary proch.

Za to słońce silniej dopieka. Pod Krakowem pokazały się już pierwsze skowronki i firleje. Panowanie zimy kończy się. Narty trzeba będzie schować na strych. Wszystkie znaki na ziemi i na niebie wskazują, że ma się już ku wiośnie. Mężowie biją głowami o mur, bo trzeba będzie sprawiać nowe suknie i kapelusze. Panienki i mężatki z wypiekami na twarzy oglądają żurnale mód.

Zakopane ułoży się do snu. Zbudzi się dopiero w czerwcu, gdy nadejdą wakacje.

Kos.



Feldmarszałek rewolucji.

ZDJĘCIA „UNION-BILD".

Kalenin, prezydent Centralnego Komitetu (po prawej) i Kaganowicz na posiedzeniu Sowietu miasta Moskwy.


Woroszyłow, generalissimus armji sowieckiej (po lewej) w rozmowie ze Stalinem.

W tych dniach skończył się XVII Kongres rosyjskiej partji komunistycznej, na którym Stalin odniósł wielki triumf, jako dyktator i główny kierownik tych wszystkich ogromnych prac, które, podjęte w dziedzinie przemysłu, handlu, rolnictwa i wychowania publicznego, noszą nazwę „budowania socjalistycznego państwa izolowanego od reszty świata".

Hołdy, jakie Stalin zbierał od 1.500 uczestników Kongresu zebranych w ogromnej białej sali w pałacu Aleksandrowskim na Kremlu nie ustępują w niczem tym objawom ubóstwienia, które w Niemczech przypadają w udziale Hitlerowi, a we Włoszech Mussoliniemu. Główny teoretyk bolszewizmu, Bucharin. którego Stalin odstawił niedawno od wszelkich władz i godności za dążności rzekomo prawicowe, mimo to wielbił na Kongresie tego samego Stalina, jako „feldmarszałka rewolucji światowej" i „naczelnego wodza proletarjatu międzynarodowego".

Gdyby mumja Lenina, spoczywająca u wejścia do tego samego Kremlu, w szklanej trumnie, w ogromnem marmurowem mauzoleum, była zdolna dziwić się, to zapewne wysuszona, żółta twarz Lenina wykrzywiłaby się we właściwym mu za życia ironicznym uśmiechu, podkreślonym zmrużeniem wąskich, skośnych i bardzo mądrych oczu.

Wyszło bowiem na to, że Stalin o wiele przewyższył nietylko Marxa, ale samego Lenina i stoi dzisiaj sam jeden na szczycie piramidy bolszewickiej, jako przewodniczący a przedewszystkiem nieomylny wódz i dyktator.

Pom.

UŚMIECHA SIĘ NAM JUŻ WIOSNA.



Szal spięty agrafką w kształcie kijka hokejowego z czerwonej emalji.



Kostjum deux-pièces z raglanowym płaszczykiem, zapiętym pod szyją.

Na prawo: Kostjum narciarski z kurtką bez rękawów do kolorowego sweterka z ciepłej wełny.



Poniżej: Przy wysokim kołnierzu płaszczyka efektownie wygląda beret z tej samej materji.



Poprzez śniegowe jeszcze w tym czasie chmury wychyla się coraz częściej i coraz silniejsze słońce. Jego promienie stają się z dnia na dzień intensywniejsze, każąc nam myśleć o zbliżającej się wiośnie. Kto może sobie pozwolić w tym czasie na wyjazd w góry, ten powróci stamtąd opalony lepiej niż w lecie, a co najważniejsze, zdobędzie wielkie zapasy energji życiowej i zdrowia, jeżeli odda się rozkoszy sportu narciarskiego.

Pani nie lęka się opalenia swej cery na brunatny kolor, odsłaniając pod dobroczynne działanie promieni słonecznych także szyję i ramiona, w miarę, jak wzrastająca temperatura dnia każe zrzucać w południe kurtkę, sweter, a nawet i lżejszą bluzkę od kostjumu narciarskiego. Zjeżdżając z gór po takiem pławieniu się w słońcu, włoży znów cieplejszą odzież, otulając szyję miękkim szalem.

Szal pozostaje i w wiosennym stroju ważnym szczegółem, zwłaszcza kostjumu. Ożywia go barwną plamą, decydując często o całości ubioru swą oryginalnością. Związany pod szyją lub spięty modną agrafką osłania szyję w chłodniejsze dni. Modne agrafki mają kształt albo przyborów sportowych, albo lotniczych, a wykonane są ze srebra lub z oksydowanego metalu. Rakiety, narty, kijki narciarskie lub hokejowe... to jedna dziedzina pomysłów dla ich wykonania. Śmigła, śruby, skrzydła samolotu, lub całe samolociki, to znów agrafki innego rodzaju.

Do koloru szala dostosowany jest odcień pończoszek. Buciki, rękawiczki i torebka harmonizują ze sobą, odcinając się ciemniejszą lub jaśniejszą barwą od kostjumu.

W kostjumie witać będziemy wiosnę!

J. Z.

THE ANGLO-POLISH CIRCLE DINNER.



W Londynie w hotelu De Vere odbył się doroczny obiad stowarzyszenia angielsko-polskiego, na który przybyli Sir Hilton Young minister zdrowia, jako gość honorowy, Sir William Max Müller, b. ambasador angielski w Warszawie, z żoną, Sir Richard Paget, Sir William Goode, Sir Robert Johnson z żoną, a ze strony Polski ambasador Skirmunt, konsulowa Hulanicka, hr. Tarnowski i znany dziennikarz p. Poliakoff. Przewodniczyła p. ambasadorowa Max Müllerowa.

Sir Hilton Young zna stosunki polskie bardzo dobrze, ponieważ w 1923 roku bawił w naszym kraju na zaproszenie ówczesnego rządu. Przygotował on wówczas plan finansowy, mający na celu zapewnienie równowagi budżetowej. Do najważniejszych wskazań, które zalecał, należała rada, aby budżet Rzplitej nie przekraczał dwóch miljardów złotych, gdyż kraj większego obciążenia nie wytrzyma. Na zdjęciu drugi od lewej ambasador Skirmunt, obok Lady Max Müller, przy niej minister Hilton Young.



Przyjazd autobusu CITROEN, startującego z Warszawy przez Pragę, Frankfurt n/M, Strassburg do Monte Carlo. Autobus przebył tę przestrzeń w przepisowym czasie, tj. 59 godzin bez punktów karnych.

WYSTAWA KOBIERCÓW I CERAMIKI

W MUZEUM NARODOWEM W KRAKOWIE.

Kraków ma szczęście do wystaw. Zaczęło się to pono jeszcze w r. 1858 wystawą starożytności polskich w pałacu Lubomirskich. I ciągło się to dalej z równym powodzeniem aż dotąd. Na wystawy takie jak: z epoki Jana Kochanowskiego, Jagiellońską i z epoki Jana III zjeżdżała cała kulturalna Polska podziwiając i ucząc się. Świetną tę tradycję podtrzymuje w całej pełni otwarta w salach Muzeum Narodowego w Sukiennicach wystawa kobierców wschodnich i ceramiki wschodniej oraz europejskiej.

Organizacja wystaw podobnych łatwą nie jest. Sam transport bezcennych a kruchych wyrobów ceramicznych, sam wybór doborowego materjału sprawia niemałe trudności. W tym wypadku jednak hasło wystawy: „budowa Muzeum Narodowego" przemogło je łatwo. Otwarły się sezamy najpiękniejszych polskich kolekcyj. Muzea krakowskie i lwowskie, zbiory magnackie hr. Potockich, XX. Sanguszków, hr. Tyszkiewiczów i hr. Pusłowskich, głośne kolekcje rektora Kulczyckiego ze Lwowa, prof. Nowaka i dyr. Ryszarda z Krakowa, dra Klugera, dra Skórczewskiego, dra Iwanickiego i szeregu innych dostarczyły ochotnie eksponatów. Zromadzone w ten sposób około 200 dywanów, tkanin i 1100 okazów ceramiki tworzą w wielkich salach Sukiennic (z których usunięto na czas wystawy galerję obrazów) niezwykły w swoim rodzaju przegląd zabytków dwóch ważnych gałęzi przemysłu artystycznego.

Zabytki kobiernictwa wschodniego, stanowiące jeden dział wystawy, to piękny dokument polskich stosunków ze wschodem. Makat i dywanów wschodnich posiadało wiele domów polskich w obfitości. Płynęły one głównie dwoma szlakami z Turcji i Persji, ze Stambułu i Ispahanu. Przywoziły je karawany Ormjan. To też kobierce małoazjatyckie i perskie tworzą główny rdzeń działu tekstylnego wystawy. Wśród pierwszych zdumiewa ilość odmian i typów. Zwraca tu uwagę olbrzymi Uszak z herbami polskiemi, tkany w w. XVII w Turcji na zamówienie polskiego szlachcica. Lecz wszystko gaśnie wobec sali kobierców perskich. Głąbokość i szlachetność barw, błyszczących pod uderzeniem światła jak lampa Aladyna, wykwintny rysunek ornamentów, wysokość środków technicznych ujmuje widza, zachwyca a nawet wprost odurza. Z prawdziwych klejnotów znajdujących się tutaj, należy wspomnieć o dywanie broszowanym srebrem, własności Muzeum XX. Czartoryskich zdobiącym może niegdyś pałace Sefewidów, o rzadkich kobiercach ogrodowych, o wzbudzającym podziw na wystawie londyńskiej olbrzymim kobiercu perskim zdobytym pod Wiedniem (własność XX. Sanguszków), o grupie dywanów t. zw. polskich wykonywanych w Persji na zamówienie polskiej szlachty i t. d.

Drugim działem wystawy to ceramika z różnych epok, krajów i warsztatów. Dekoracyjne fajanse włoskiego renesansu ze słynnych fabryk Urbina, Deruty, Faenzy, świetne wazy i flisy perskie, iryzujące wykopaliska syryjskie, holenderskie „Delfty", ceramika hiszpańsko-mauretańska, fajanse francuskie Palissy'ego, a poza tem witryny za witryną napełnione arcydziełami manufaktur: miśnieńskiej, wiedeńskiej, berlińskiej, tak miłych dla polskiego oka koreckiej, baranowieckiej i wielu innych.

Osobną grupę stanowi zabytkowa ceramika chińska reprezentowana przez zbiór jedyny tego rodzaju w Polsce. Trzeba ją jednak samemu oglądać aby móc rozkoszować się barwą księżyca (clair de lune) na czarach z dynastji Sung, albo polewą o pięknie brzmiącej nazwie jej koloru „barwa owocu brzoskwini" na ceramice z dynastji K'ang Hsi. I aby móc wracać wielokrotnie do małych czarek „Temnoku" o prążkach z kryształków błyszczu, połyskujących jak pióra na piersiach ptaka.

Wystawa podobna jak obecnie w Sukiennicach nie co roku i nie co kilka lat może być urządzoną. Należy więc korzystać z wyjątkowej okazji zdobycia szeregu wiadomości i nieprzeciętnych wrażeń estetycznych.

B.

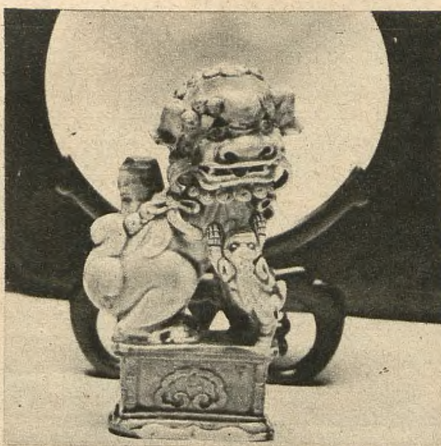


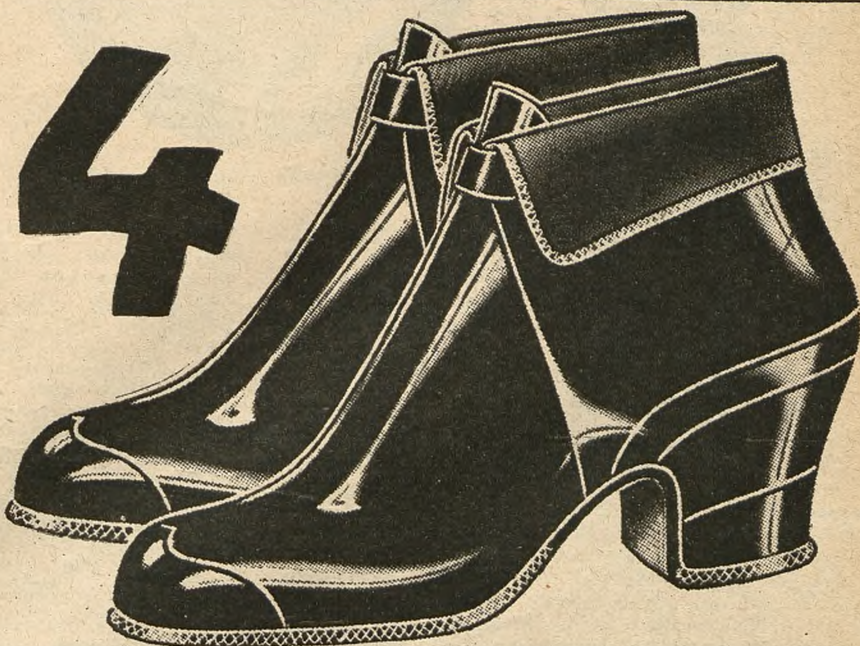
Figura świętego psa „Fo" z masy półporcelanowej (koniec XVII-go wieku).
Własność prof. Julijana Nowaka w Krakowie.



Fragment kobierca perskiego z XVI-go w.
Własność Muzeum XX. Czartoryskich.



Figurki manufaktury saskiej (Miśnia), pochodzące z r. 1750.
Para na lewo własność Muz. Narod. na prawo Muz. XX. Czartoryskich.



PORT SUDAN.



Domy Hindusów w porcie Sudan.



Port Said, leżący nad kanałem Sueskim.

Port Sudan... — obiecująco brzmiąca nazwa, a w rzeczywistości miejscowość nadająca się na jeden z kręgów piekła dantejskiego.

Rozżarzony do białości piasek, rozpalone powietrze, biała opona nieba, zwana zazwyczaj błękitem, oparem żaru przesłonięte góry na horyzoncie. Słońce zdaje się być białem z wściekłej zawziętości prażenia biednej ludzkości nielitościwemi strzałami. Morze tylko stara się szarą modrością ukoić wzrok i dać mu wrażenie chłodu. Daremny wysiłek! Na nieruchomej i sztywnej powierzchni, podobnej do polerowanej płyty ołowiu, ani śladu fal. Umarły pod oddechem rozpłomienionej słońcem ciszy. — Korowód jakichś dużych ryb, jak dowiadujemy się, młodocianych rekinów, przesuwa się tuż koło statku, poruszając się jakby w rozrzedzonej mazi.

Statek nasz tuli się do brzegu. Pojąć trudno, dlaczego duży budynek w porcie wprost naprzeciw naszego okrętu jest pokryty dachem z pięknie karbowanej, białoszarej blachy. Przypuszczam, dla dodania jeszcze jednej białej nuty do tej orgji białej harmonji i skondensowania jak największego zapasu żaru.

Niezrażeni tą gorącą gościnnością, postanawiamy w y c i e c z k ę na brzeg, dla zwiedzenia miasta, które zresztą w całej okazałości widać z pokładu. Zagłębiając się odważnie w ląd, białością dyszący, doznaje się dziwnego uczucia, jakby utraty poczucia rzeczywistości... Rozpalone do ostatecznych granic powietrze, ziemia, słońce — zdają się jakimś szałem opanowane. Szałem życia? czy szałem zniszczenia? Niesamowity nastrój filtruje w mózg nerwy i całą istotę niesłychaną subtelność wyczuwania „czegoś" trudnego do określenia. Cisza pozorna, a każde ziarnko piasku, stopą deptane, każdy atom rozedrganego gorącem powietrza zdaje się krzyczeć, śpiewać jakiś opętany hymn, o dziwnym rytmie i wyrazie. Ta urzeczona wędrówka w świat białego żaru i słonecznego dźwięku, upaja jak narkotyk.



Piękność z Sudanu.

Idziemy zapyloną drogą, mijając duży budynek kwadratowy o symetrycznym wyglądzie. To rezydencja gubernatora angielskiego. Ani jednego krzewu, ani trawki w pobliżu. Nie zazdroszczę. Piasek, słońce i białe mury.

Jedyną ciemną plamą w tej ogólnej białości Port Sudanu, to twarze tubylców o połyskliwej czarności. W swych białych szatach i olbrzymich turbanach wyglądają jak muchy w mleku. Chude twarze o ostrych rysach i błyszczących oczach szczególną chlubią się ozdobą. Na każdym policzku od oka do ust, trzy głębokie równoległe blizny. Gdy pierwszego Sudańczyka zobaczyłam, sądziłam, że to po jakiejś chlubnej walce te blizny na policzku mu zostały, lecz widząc te same znaki na wszystkich czarnych twarzach, domyśliłam się, że to moda zapewne, lub tradycyjny zwyczaj. — W rzeczy samej są to odznaki poszczególnych szczepów. W dzieciństwie rzeźbią w skórze na policzkach chłopca znamię jego plemienia. W ten sposób „naznaczony", nie może wyrzec się swego pochodzenia na resztę życia. Bolesna zapewne musi to być operacja i nierzadko może z g u b n a w skutkach, np. w razie identyfikacji później w życiu najzupełniej niepożądanej.



Łódź żaglowa na kanale Sueskim.

Dobijamy do hotelu, jedynego w mieście, wielce prymitywnego. Pokrzepiamy się lemonjadą o podejrzanym smaku chemikalij i ruszamy dalej. Jest rozpaczliwie. Pod wpływem lemonjady i wentylatorów hotelowych znikł przedziwny nastrój, wywołany narkotykiem żaru i widok rozpalonej piaszczystej drogi pozbawiony jest uroku. Na szczęście zjawia się jakiś rozklekotany antyczny Fiat i czarny jak smoła szofer obiecuje za kilka szylingów pokazać nam całe „miasto".

W życiu nie widziałam tak pustynnej miejscowości. Piasek, niebo i — dwie czy trzy ulice z niskiemi domami. Fiat biegnie dzielnie po piasku, omijając starannie coś, co nazywa się „szosą", a co jest pełne wybojów i dziur. Grupa identycznych domków bardzo schludnie wyglądających z zabawnymi, stożkowatymi dachami. To dzielnica Sudańczyków. Opodal hinduska dzielnica. Podobne domki tylko z dachami w kształcie płaskich kopuł. Na krańcach miasta, siedziby koczujących Arabów, z gór. Niesłychanie brudne, ubogie szałasy. Dziwne typy mieszkańców.

Olbrzymie gęste czupryny bardzo krętych, czarnych, a nierzadko zlekka zrudziałych włosów z długiemi drewnianemi szpilkami służącemi do... drapania głowy. Wygląd fryzur robi wrażenie, że ten przybór toaletowy jest nieodzownym (podobnie jak był on dla elegantek dworu Ludwików francuskich). Kobiety często, lecz nie zawsze, zawoalowane, noszą bardzo jaskrawe czerwone, pomarańczowe, żółte tkaniny, malowniczo udrapowane i olbrzymie złote kolczyki w nosie, w kształcie kubka, rozmiarów prawie filiżanki do czarnej kawy. Wielbłądy dosyć liczne są, podobnie jak ich właściciele, nieprawdopodobnej chudości. Pojąć trudno, czem są żywione? Ani źdźbła trawy, ani krzewu dokoła.

Zastanawiam się, w jakim celu podobne „miasto" zostało założone? (w 1909 roku) i dowiaduję się, że dla zwalczania handlu niewolnikami, którego główny punkt zborny istniał tutaj. Port Sudan nazywał się Sheik Berguth od imienia pobożnego szeika, który był tak ubogim, że wyruszywszy na pielgrzymkę do Mekki, nie miał czem opłacić powrotnej podróży na statku. Puścił się więc z Jeddy na zwykłej łodzi, i niedaleko domu, w miejscu, gdzie znajduje się jego grób na wybrzeżu, umarł z pragnienia. Od tego czasu każdy prawowierny Muzułmanin żeglując koło tego miejsca, wlewa do morza dzban świeżej wody.

Kupuję naszyjnik z dużych krągłych paciorków zielonych, jak „jade" (dżejd), ulubiony i kosztowny klejnot Chińczyków. Nie jest to jednak napewno dżejd, bo malowniczo i raczej dziko wyglądający przekupień po żądaniu 15 szylingów, oddał mi cały ich długi sznur za... dwa szylingi, twierdząc, że to prawdziwe kamienie z pustyni Arabji. Podejrzewam, że pochodzą wprost... z Niemiec, albo i samejże Anglji. Chyba, że pustynia arabska wybrukowana jest „szlachetnemi" kamieniami?

Wracamy na statek.

Z twarzą gorejącą szkarłatem piwonji, z włosami przylegającemi ściśle do głowy, a cienką białą suknią do skóry, wyglądam jak po nagłym a niespodziewanym tuszu. Skonstatowawszy bezradnie ten fakt w lustrze salonu okrętowego, czuję się poprostu.. triumfalnie, widzę bowiem, że ci, co przezornie zostali na statku, nie lepiej wyglądają ode mnie. Chociaż bowiem elektryczne wentylatory dyszą pracowicie, powiew, którym nas darzą, podobny jest do oddechu wulkanu.

Dowiaduję się, że kilkanaście osób wysiadło w Port Sudan, udając się pociągiem do Kartum. Na myśl o temperaturze w pociągu, która czeka tych nieszczęśliwych, czuję wyraźnie dreszcz chłodu na rozpalonej skórze. Kartum, druga katarakta Nilu, to punkt zborny myśliwych na lwy. Ponieważ mordowanie lwów nie należy do moich najulubieńszych rozrywek, z obojętnością myślę o Kartum.

Jest około jedenastej przed południem. Ruszamy ku ogólnej radości. Przed nami półtora dnia jeszcze żaru na Morzu Czerwonem, poczem Ocean Indyjski z swym chłodnym powiewem, fosforescencją fal, cudnemi nocami pod nieznanemi konstelacjami gwiazd...

Mundell-Lachowska.

* * *

We wstępie do poprzedniego feljetonu p. Jadwigi Mundell-Lachowskiej zakradły się przez złośliwość „djablika drukarskiego" pewne nieścisłości, które niniejszem wyjaśniamy. Nazwisko obecne znakomitej śpiewaczki p. Lachowskiej, zamężnej od lat kilku za adwokatem w Londynie, brzmi Mundell. Mąż jej pochodzi ze znanej w Londynie rodziny, a poznał się z naszą rodaczką na okręcie w drodze powrotnej z Singapore do ojczyzny.

Jadwiga Mundell-Lachowska, której sławą rozbrzmiewały największe sceny operowe, debiutowała we Lwowie, mając lat 16-cie i ze Lwowa ciągnie się świetne pasmo jej sukcesów scenicznych poprzez Warszawę i inne sceny polskie, Włochy, Hiszpanję i t. d. do Australji, gdzie święciła triumfy w Sidney i Melbourne.

Ostatnio dzieliła p. Jadwiga Mundell-Lachowska miejsce swego pobytu pomiędzy Londyn a Singapore. Ubiegłej jesieni przebywała z swym mężem w Polsce, a obecnie odbywa podróż po Indjach, z których interesujące feljetony drukujemy właśnie na łamach „Światowida".

WIELKI KONKURS „ŚWIATOWIDA“ NA SCENARJUSZ FILMOWY

Łączna suma nagród 4.500 zł.

WARUNKI KONKURSU:

1) Scenarjusz filmowy winien być oryginalny, nigdzie dotąd nie grany.

2) Manuskrypty (pisane o ile możności na maszynie i to jednostronnie), należy nadsyłać pod godłem (a więc bez podania nazwiska autora). Imię, nazwisko i adres autora przesłać równocześnie z manuskryptem w osobnej, zamkniętej i zalakowanej kopercie, na której umieścić należy jedynie godło, jakiem manuskrypt został oznaczony.

3) Termin ostateczny nadsyłania manuskryptów: 30 kwietnia 1934 r. godz. 12 w południe.

4) Nagrody pieniężne w łącznej sumie 4.500 złotych: I nagroda zł. 2.000, II nagroda zł. 1.500, III nagroda zł. 1.000.

5) Prawa autorskie scenarjuszów nagrodzonych przechodzą na wydawnictwo „Światowida“.

6) Wydawnictwo „Światowida“ zastrzega sobie prawo zakupienia scenarjuszów nienagrodzonych.

7) Skład sądu konkursowego podany będzie w najbliższym czasie do wiadomości publicznej.

8) Adres dla przesyłek przeznaczonych dla konkursu: „Konkurs „Światowida“ na scenarjusz filmowy“, Kraków, Pałac Prasy.

Szczegółowe wskazówki, jak należy pisać scenarjusz filmowy i w jakiem opracowaniu należy go przesłać Sądowi Konkursowemu, zamieścił „Światowid“ w Nr. 3 z 13 b. m.

HRABIANKA.



Elissa Landi należy do arystokracji filmowej. Pochodzi bowiem ze starej hrabiowskiej rodziny. Urodziła się w Trieście, potem wyjechała do Anglji, jeszcze potem do Ameryki. Jest niezrównana w rolach wykwintnych i dobrze ułożonych amantek.

Czytajcie „Wróble na Dachu“.

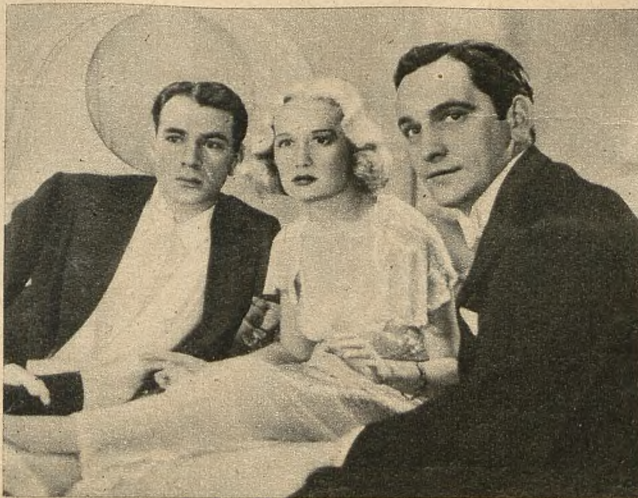
„SZTUKA ŻYCIA“

JUBILEUSZOWY FILM ERNESTA LUBICZA.

Oglądaliśmy na specjalnym pokazie najnowszy film Lubicza „Sztuka życia“.

Lubicz obchodził w roku bieżącym 15-lecie swej pracy filmowej. Przyznać trzeba, że dorobek dotychczasowy tego wielkiego reżysera wypadł naprawdę imponująco. Już przed kilkunastu laty oglądaliśmy na początku rozwoju kinematografji szereg wystawowych, wielkich na owe czasy filmów, jak: „Sumurun“ z Polą Negri, w których Lubicz poraz pierwszy przedstawił nam swój wielki talent, jako realizator. Dopiero jednak po wyjeździe do Ameryki, w dobie wielkiego rozkwitu filmu, wykazał w całej pełni swe zdolności reżyserskie. Wszystkie naprawdę wielkie filmy, jakie były stworzone w Ameryce, nosiły markę Lubicza, jako realizatora. Wystarczy powiedzieć, że Chevalier, jak również Jeanette Mac Donald, zawdzięczają w największej mierze swoje sukcesy wyłącznie Lubiczowi.

Oczywiście 15-lecie pracy postanowił uczcić Lubicz godnie i stworzyć film, któryby był jego tworem najlepszym Tym filmem jest „Sztuka Życia“. Materjał aktorski, występujący w tym filmie, jest znakomity. Gary Cooper, Frederic March, Miriam Hopkins. Same asy. Gary Cooper jest obecnie najpopularniejszym aktorem Ameryki. Jego suchą, wysoką sylwetkę znamy doskonale z filmu „Marokko“, gdzie Gary był partnerem Marleny Dietrich i z wielu innych filmów.



Gary Cooper, Miriam Hopkins i Frederic March.

Frederic March, niesamowity „Dr. Jekkyll i Mr. Hyde“ oraz wspaniały Marek z filmu „W cieniu krzyża“, no i wreszcie Miriam Hopkins o słodkim uśmiechu, wybijająca się obecnie na czoło aktorek Ameryki, która właśnie pod kierunkiem Lubicza odnosiła największe sukcesy, oto nazwiska aktorów, występujących w tym filmie.

Cała ta trójka prześciga się poprostu w grze.



Gary Cooper i Miriam Hopkins.

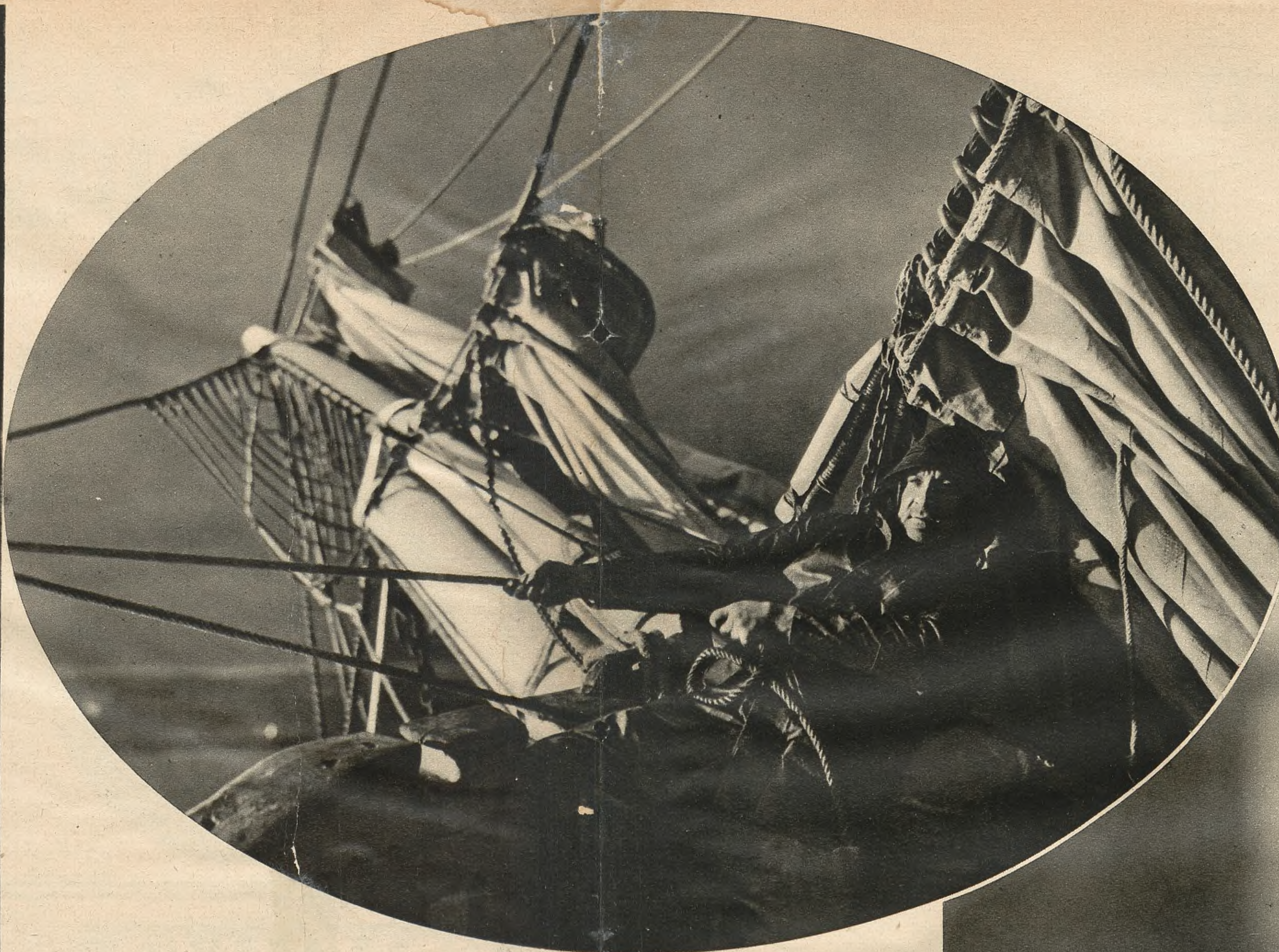
Trudno kogoś wyróżnić specjalnie. Jeśli chodzi o reżyserję, to Lubicz w tym swoim jubileuszowym filmie pokazał lwi pazur. Szereg sytuacyj jest poprostu kapitalnie odtworzonych. Np. scena na początku filmu w wagonie kolejowym. Typy świetnie uchwycone. (Edward Everett Horton). Scenarjusz w opracowaniu najpopularniejszego i najpłodniejszego pisarza angielskiego Noel Cowarda bardzo dobry. Jeśli chodzi o porównanie „Sztuki Życia“ z poprzedniemi filmami Lubicza, można powiedzieć, że 15-lecie swej pracy uczcił Lubicz zrealizowaniem najlepszego swego filmu.

Zamiast więc używać szeregu superlatywów, wystarczy powiedzieć. Lubicz, Gary Cooper, Frederic March, Miriam Hopkins. Te parę nazwisk wystarczy, jako ocena filmu.

RYBAK ISLANDZKI.



Yvette Guilbert w roli babki.





Sceny z filmu „Rybak Islandzki".



ZDJĘCIA FRANCIS C. FUERST — PARIS

Mała wioska rybacka na wybrzeżu Bretonji tonie w mroku burzliwej nocy. Ostry deszcz siecze po szybach małych okienek domków rybackich, gdzie żony, czy narzeczone rybaków oczekują powrotu swoich mężów, którzy popłynęli kędyś aż ku Islandji na wielki a niebezpieczny połów.

Przy starym kominku usiadły dwie kobiety. Jedna młoda i piękna, jasna blondynka, druga staruszka, nachylona nad robótką. Staruszka śpiewa dawną marynarską piosenkę. Słuchajmy jej uważnie. To przecież śpiewa Yvette Guilbert. Już samo nazwisko tej najsłynniejszej pieśniarki Paryża wystarczyłoby za reklamę dla tego wspaniałego morskiego filmu, jakim jest „Rybak Islandzki". W filmie tym kreuje Yvette Guilbert niezapomnianą rolę babki Moan, opiekunki młodej, pięknej Gaud (Mme Margeritte Wentenberger).

Myśli kobiet, siedzących u kominka biegną wdal, gdzie wśród burzy zmaga się z potężnemi falami morskimi nędzna barka rybacka. Na barce tej popłynęli ich najdrożsi, wnuk babki Moan Sylwester i młody marynarz Jan. W małej, zczerniałej kajucie siedzą teraz wraz z swoimi kolegami przy stole i popijając wino, rozmawiają o małżeństwie. Jeden tylko Jan nie chce nawet słyszeć o ożenku, przysiągł poślubić tylko morze. Nie wie, że w tej właśnie chwili przepowiada swój los i swoją tragedję.

Mija lato i mija czas połowu. Na zimę wracają Islandczycy do domów. Ku nim po piaszczystem wybrzeżu wybiegają na powitanie kobiety z całej wsi. Gaud jednak nie wybiegnie naprzeciw ukochanego. Długo jeszcze będzie się zmagała sama ze swoim uczuciem, długo jeszcze Jan będzie milczał, aż wreszcie nadejdzie ten dzień, kiedy spotkają się i powiedzą sobie prawdę. Dzień ten ocienia smutek śmierci, śmierci Sylwestra, wnuka babki, który poległ gdzieś w dalekich krajach. Śmierć, która wyrwała Janowi przyjaciela, pozwoliła mu znaleźć szczęście w miłości z Gaud.

Nadszedł dzień wesela. Kiedy państwo młodzi wychodzą z kościoła, nad morzem rozszalał się istny orkan, jakby morze chciało wyrazić swój gniew za złamane przysięgi Jana, który jemu tylko przecież ślubował. Ale młodzi nie myślą o tem, są szczęśliwi, upaja ich miłość.

Los nie pozwolił im cieszyć się długo małżeństwem. Już po sześciu dniach Jan wyrusza na nowym statku „Leopoldynie" na północ ku Islandji. Jego młoda żona nie była tam nigdy, ale zna dobrze nazwiska tych, co popłynęli tam i już więcej nie wrócili. Są przecież wypisane na prostych krzyżach na wiejskim cmentarzu. Serce jej więc przejmuje trwoga, dręczą ją złe przeczucia, przeczucia, które niestety się spełnią. Będzie chodzić samotna na brzeg i patrzeć zapłakanemi oczyma wdal, ale nie doczeka się już nigdy jego powrotu.

Film „Rybak Islandzki", osnuty na tle powieści Piotra Lotiego — produkcji francuskiej Piotra Guerlaina, obfituje w niezwykle piękne morskie zdjęcia. Pełny triumf w tym filmie odnosi w swoich przepięknych piosenkach Yvette Guilbert.

J. Sz.



JAN LANKAU. FELJETON TYGODNIOWY.

CZY WAM NIE WSTYD?

Sława... Boski jej nektar spijają gwiazdy filmowe pełnemi ustami, na jej skrzydłach odbywają czarowną podróż po całym świecie, podziwiane przez tłumy, kochane i... świetnie honorowane. Sława bowiem sadza swoich wybrańców nie tyle na pegaza, ile na złotego cielca, zwierzę niezgrabne, ale biorące doskonale wszelkie przeszkody.

Sława jest synonimem zawrotnej karjery, zaczynającej się gdzieś w kuchni, w suterenach, na przedmieściu, a kończącej się we własnej willi i luksusowych apartamentach itp. Jakże często jakaś nikomu nieznana dziewczyna dzięki przypadkowi dostaje się na ekran i zyskawszy rozgłos opływa we wszelakie dostatki. Służebnice X muzy są znacznie szczęśliwsze od swych siostrzyc, które jako aktorki, baletnice i śpiewaczki występowały w dawnych czasach. Jeszcze w XVIII wieku grzebano zarówno artystów, jak i artystki poza obrębem cmentarza nie godziło się bowiem „komedjantowi" spoczywać na ziemi poświęcanej, tuż obok zacnego mieszczanina, albo zgoła patrycjusza. To wszystko jednak razem nie przeszkadzało divom teatralnym i baletniczkom czynić podboje, o jakich nasze Liljanki, czy Mac-Donalki nawet marzyć nie mogą.

Któraż bowiem z nich pochlubić się może, że była przyjaciółką króla, cesarza, lub nawet księcia?

Żadna. Jedna Pola wyszła zamąż za księcia. Ale co to za książę? Gruziński! A w Gruzji, podobnie jak w przedwojennej Czarnogórze, księciem względnie wojewodą był każdy, kto miał 100 baranów.

A tymczasem taka Katarzyna Schratt, artystka Burg-Teatru potrafiła usidłać największego arystokratę świata, cesarza Franciszka Józefa I. Miała nawet odwagę na znak protestu przeciwko jego kaprysom uciec do Paryża.



Król portugalski Manuel kochał się na zabój w tancerce Tarragonie.





Artystka Burgteatru Katarzyna Schratt była przyjaciółką: cesarza Franciszka Józefa I-go.



Król pruski Fryderyk II został oczarowany pięknością tancerki Barberiny Camponini.





Tancerka Cleo de Merode została żoną: króla belgijskiego Leopolda II.

A było to tak: Cesarz życzył sobie, aby mu codziennie towarzyszyła przy śniadaniu. Śniadanie to zaś podawano o 5-tej rano. Biedna Kati przez kilka lat zjawiała się o tak wczesnej godzinie w Burgu zła i niewyspana, ale wreszcie zbuntowała się i uciekła. Powróciła dopiero, gdy cesarz zapewnił ją, że śniadania będzie już odtąd jadał w samotności.

Albo tancerka Cleo de Merode. Ożenił się z nią król belgijski Leopold II, pomimo, że nie pochodziła ze zbyt znakomitego rodu, ojcem jej bowiem był stróż kamieniczny, czyli jak się dzisiaj mówi dozorca. To morganatyczne małżeństwo króla wywołało burzę w całym kraju, najgłośniej protestowali ministrowie. Ale Leopold II, który właśnie wtedy wbrew woli całego narodu połykał olbrzymi kąsek w postaci Konga, przyjmował te protesty ze spokojem, mówiąc: „Moi ministrowie mogą sobie pozwolić na luksus chodzenia bez głowy, ponieważ mają króla, który za nich myśli".

No i został przy Cleo.

Przeszła do historji także inna baletniczka, niejaka Barberina Camponini, Włoszka z Parmy. Występy jej w Paryżu budziły taki zachwyt, że ośmieliła się ona powiedzieć księciu Carignan, że nawet za sto tysięcy franków (pieniądz miał wtedy inną wartość) nie pozwoliłaby mu się pocałować w rękę. Zasłyszał o niej sam wielki Fryc, król pruski Fryderyk II i zaangażował ją do berlińskiego baletu. Imponowało mu bowiem, że miała łydki, jak grenadjer. Barberina podpisała kontrakt, ale poznawszy Lorda Mackenzie, za namową jego wyjechała do Wenecji, ani myśląc o dotrzymaniu kontraktu. Ale z Fryderykiem II nie było żartów. Zaczął słać notę za notą do republiki weneckiej i zagroził jej takiemi represjami, że doża kazał Barberinę uwięzić i dostawić do Wiednia, skąd już poseł pruski wyekspedjował ją do Berlina. Fryderyk II zakochał się po uszy w pięknej baletniczce, wydał ją za hrabiego Barschau i kazał ją nieskończoną ilość razy portretować. Gdy umarła, na grobie jej umieszczono krótki, ale wymowny napis: „Virtuti asylum" (Schron cnocie).

Naostatek wypada jeszcze wspomnieć o tancerce Tarragonie, kochance, króla portugalskiego Manuela.

Oto kilka przykładów. Wynika z nich jedno: Wy, artystki filmowe, jesteście wprawdzie sławne i zdobywacie różnych reżyserów, bussinessmanów i młodych bubków, lub książąt od stu baranów, ale wszystkie razem nie potrafiłyście usidłać ani jednego koronowanego chłopca, z księciem Walji na czele.

Czy wam nie wstyd?

Ze świata.

Do ostatnich miesięcy Portugalja, podobnie jak szereg innych mniejszych państw, nie posiadała własnej produkcji filmowej, wyświetlając jedynie obrazy produkcji obcej, przeważnie ochodzenia amerykańskiego i francuskiego.

Ostatnio zrealizowano w Lizbonie pierwszy dźwiękowy film (mówiony w języku portugalskim) p. t. „Piosenka z Lizbony". Film ten został nakręcony przez reżysera Cottinelli'ego w atelier zbudowanem przez „Tobis-Film". W roli głównej wystąpiła znakomita pieśniarka portugalska w rodzaju „diseuse" — Beatrice Costa, posiadająca oprócz oryginalnej urody cudowny głos, który zjednał jej miano „słowika Portugalji". W najbliższym czasie w Lizbonie nakręcać będą kilka nowych filmów posiadających charakter — podobnie jak „Piosenka z Lizbony" typowej komedji muzycznej.

* * *

W Brukseli pokazywany był dwukrotnie wobec fachowców i kapitalistów francuskich film polski „Każdemu wolno kochać". Istnieje mianowicie projekt nakręcenia tego filmu w języku francuskim. Jak się dowiadujemy, sprawa ta zostanie załatwiona w najbliższych dniach. Film ten podobał się tu ogromnie i istnieje przekonanie, że miałby on ogromne powodzenie w wersji francuskiej. Ze względu, iż nie może on być przedstawianym w wersji polskiej, oraz że publiczność coraz bardziej stroni od „doublingów", istnieje tylko możliwość nakręcenia ponownego tego filmu w Paryżu z aktorami francuskimi. Trudność powstała też w ewentualnym doborze artystów, gdyż fachowcy francuscy obecni na przedstawieniu tego filmu w Brukseli stwierdzili, iż mało jest we Francji komików tego rodzaju, co Dymsza, Lawiński i inni. Rolę Dymszy grałby prawdopodobnie Lefevre znany w Polsce z całego szeregu filmów. O ile projekt ten doszedłby do skutku, byłoby to najlepszym dowodem olbrzymiego postępu polskiej kinematografji.

* * *

„X z Pawiaka" grane jest z tygodnia na tydzień w coraz to innem mieście belgijskiem. Po Antwerji film ten był wyświetlany w Boom, Louvain, w najbliższych dniach będzie grany w Leodjum i Brukseli. „Pałac na kółkach" szedł już w Lierre i Hoom. Natomiast „Księżny Łowickiej" i „Legjonu Ulicy" jeszcze nie wyświetlono.

„Na Sybir" idzie w Belgji w dwóch wersjach. Jedna jest polską — udźwiękowiona na płytach i niczem się nie różni od tej, jaką widzieliśmy w Polsce, podczas gdy druga udźwiękowiona na taśmie w Niemczech, posiada powycinane wszystkie sceny polskie i w niczem nie przypomina polskiego filmu. Każdy przypuszcza, iż jest to produkcja sowiecka, ilustrująca walki rewolucjonistów rosyjskich w czasie trwania caratu. Obecnie wersja zrobiona w Niemczech grana jest w miejscowych kinach.

Nieśmiałość.



— *Pada śnieg...*
— *Tak jest, pada śnieg...*

Prosta przyczyna.



— *Dlaczego mówisz tak źle o twej najlepszej przyjaciółce?*
— *Ponieważ ją najlepiej znam...*

POZNAŃ DLA BEZROBOTNYCH.



Z inicjatywy Lokalnego Komitetu Funduszu Pracy na miasto Poznań odbył się w Poznaniu kurs oświatowców dla poszczególnych świetlic dla bezrobotnych. Na zdjęciu moment z otwarcia kursu. Wśród obecnych widzimy prezesa Izby Skarbowej dr. Ferdynanda Świtalskiego, starostę grodzkiego Podhorodeńskiego i wielu innych.

Niespodzianka imieninowa.



— *Czy jest pan doktór?*
— ***Jest; ale... możeby pan przyszedł jutro, bo mąż ma właśnie jutro imieniny, a pan jest jego pierwszym pacjentem!***

SWIATOWID WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ W KRAKOWIE, POZNANIU, WARSZAWIE, LWOWIE I WILNIE.
REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Kraków, Wielopole 1.
TELEFONY: 150-60 (centrala), 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65.
Oddział w Warszawie: Krakowskie Przedm. 9. Tel. 208-63 i 234-65.

CENA OGŁOSZEŃ:
Strona dzieli się na trzy łamy (szerokość łamu 80 mm.) 1 mm w jednym łamie 1 złoty. Ogłoszenia zamieszczone jako jedyne na stronie (tak zwane „solus") — 1 mm. w jednym łamie 2 złote. Ogłoszenia, zamówione jako jedyne na stronie („solus"), jeżeli ze względów technicznych nie będą mogły być zamieszczone według zle-

Prenumerata kwartalna zł. 6.50. Zagranicą zł. 9.50.
Prenumerata miesięczna zł. 2.20. Zagranicą zł. 3.20.
Wydawca i naczelny redaktor: MARJAN DĄBROWSKI
Kierownik literacki i redaktor odpowiedzialny: Dr. JÓZEF FLACH.
Zakłady graficzne Ilustrowanego Kurjera Codziennego w Krakowie

PO KARNAWALE.

